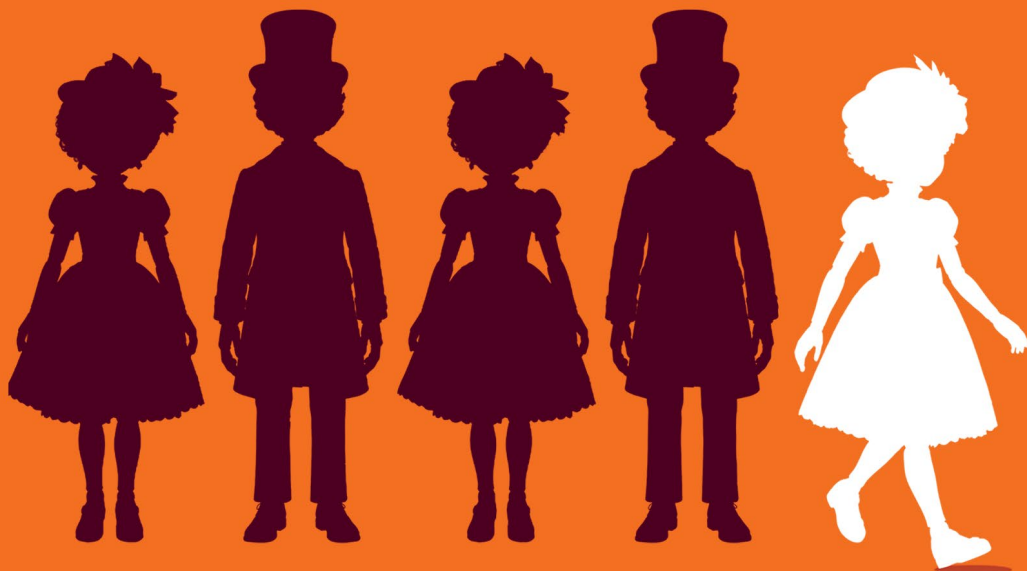


NIE-LALKA

NIEZALEŻNOŚĆ FINANSOWA ZMIENIA HISTORIĘ



Wojciech Chmielarz

Wojciech Chmielarz

„Cena wolności”

1.

– Dwieście tysięcy rubli!

Panna Florentyna obserwowała w domu Łeckich poruszenie większe niż zazwyczaj. I to nawet większe niż w tych okresach, kiedy Pan Tomasz doświadczał przypływu sił fizycznych i psychicznych, która to energia pchała go następnie do zaskakujących przedsięwzięć towarzyskich, snucia ambitnych planów podniesienia rodziny ze stanu tej przykrej zapaści, w której się znalazła, czy też do rzucenia się w wir zabawy. Skutki tego ostatniego były zazwyczaj oplakane, wiązały się bowiem z dalszym uszczupleniem majątku szanowanego rodu Łeckich, co ostatecznie wprowadzało pana Tomasza w stan melancholii. Leżał potem całymi dniami w swoim pokoju przy zaciągniętych zasłonach, nie przyjmował żadnych gości, nawet członków rodziny witał w swoich progach niechętnie. Tolerował wtedy tylko starego kamerdynera Mikołaja, ale wyłącznie dlatego, że przynosił mu on posiłki, a także kolejne filiżanki herbaty zaprawianej w tajemnicy przed resztą domowników mocniejszymi substancjami. Przenosiła się później ta atmosfera na pozostałe pokoje i wkrótce całe mieszkanie przypominało grobowiec – cichy, ponury, pozbawiony nadziei oraz jakiegokolwiek iskry życia. Domownicy przemykali wtedy wzdłuż ścian niby duchy, upiory, blade wspomnienie dobrych dni. Aż do chwili, w której pan Tomasz podrywał się z nowymi pomysłami, które wypełniały mu głowę i domagały się natychmiastowej realizacji.

– Dwieście tysięcy rubli!

Tym razem jednak pan Tomasz był bardziej podekscytowany niż w nawet najbardziej energetyczne dni, tuż przed popadnięciem w melancholię, kiedy na wiele dni znikał w domu. Najczęściej po to, żeby przegrywać duże sumy w karty. Krążył teraz po mieszkaniu w samych spodniach i rozchełstanej koszuli, co przecież nie przystawało takiemu człowiekowi, nawet we własnym domu, nie mogąc nigdzie

znaleźć swojego miejsca. Rzucił się jak ryba wyciągnięta na brzeg lub niesforne, wiejskie dziecko. Florentyna pomyślała, że gdyby dać mu wierzbową witkę i stado gęsi, przegoniłby je przez całe Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat.

– Dwieście tysięcy rubli! – krzyknął pan Tomasz, zatrzymując się tuż przy pannie Florentynie. A potem zupełnie niespodziewanie chwycił ją w ramiona i potrząsnął, nie przejmując się tym, że właśnie raczyła się herbatą. Ta zaś wylała się jej na suknię. Panna Florentyna syknęła z bólu, ponieważ napar był gorący. Następnie z przykrością pomyślała, że będzie musiała się przebrać. Nie będzie przez resztę dnia paradować w poplamionej sukni. Problem polegał jednak na tym, że ubrań zbyt wiele nie miała i oszczędnie musiała nimi gospodarować.

– Kupiłem kamienicę za sto tysięcy rubli – kontynuował pan Tomasz, niewzruszony jej wstrząśniętym wyrazem twarzy. – Niecały tydzień wcześniej mój znajomy wziął dwakroć za dom, który kosztował go sto pięćdziesiąt tysięcy. Ja dałem sto tysięcy, czyli powinienem dostać dwieście tysięcy. Dwieście tysięcy rubli! – zakończył pan Tomasz i wyrzucił ramiona w górę, puszczając wreszcie pannę Florentynę. Ta sapnęła z ulgą, bo palce mężczyzny boleśnie się już wbijały w jej ramiona.

Mężczyzna zamarł w tej pozycji na dłuższą chwilę, niby statua lub ta nieszczęsna żona Lota, która zerknęła przez ramię na karana srogo Sodomę i zmieniona została w słup soli. Jego twarz poczerwieniała i Florentyna przestraszyła się, że dzieje się z nim coś złego. Ale jego oczy błyszczały radośnie. I nagle, niby jakaś zabawka, opuścił ramiona i wypuścił z płuc powietrze, a jego twarz przybrała zwyczajowy kolor.

– Dwieście tysięcy rocznie – powtórzył, ale już ciszej. – Po opłaceniu zobowiązań hipotecznych zostanie sto czterdzieści tysięcy. Jak powierzę to panu Wokulskiemu, to da mi z tego z jakiegoś dwadzieścia, nie, dwadzieścia osiem tysięcy rocznie. Utrzymanie domu wychodzi mi od sześciu do ośmiu tysięcy rocznie. Niech będzie nawet dziesięć. To zostaje jeszcze osiemnaście tysięcy... Osiemnaście tysięcy... – wymamrotał, a potem spojrzał pytająco na pannę Florentynę, jakby spodziewał się od niej potwierdzenia swoich

kalkulacji. Ta zaś poczuła, że jej serce zaczyna bić mocniej, a żołądek ściska strach. Nie wiedziała bowiem, jak powinna się zachować, żeby sobie nie zaszkodzić. Bała się, że jakikolwiek gest wykona, cokolwiek mu powie, pan Tomasz to sobie zapamięta. Jeśli mu się teraz sprzeciwi lub spróbuje uspokoić przypominając, że licytacja przecież jeszcze się nie odbyła i różnie życie może się potoczyć, zdenerwuje się i zacznie czynić jej wyrzuty. Przypomni, że żyje na jego utrzymaniu i winna mu była wdzięczność oraz wsparcie, zamiast rzucania kłód pod nogi i ogólnego czarnowidztwa. Jeśli zaś wyrazi aprobatę, utwierdzi go tylko w jego urojeniach, a potem jeszcze większy będzie mieć do niej żal, kiedy zderzą się one rzeczywistością. Pani Florentyna знаła bowiem prawdę, z której i pan Łęcki zdawać sobie musiał sprawę, ale jej do siebie nie dopuszczał. Kamienica warta była bowiem nie więcej niż sześćdziesiąt tysięcy!

Na szczęście pan Tomasz nagle stracił zainteresowanie panną Florentyną i skupił się całkiem na swoich fantasmagoriach.

– Osiemnaście tysięcy – powtarzał tę liczbę jak mantrę, niby bramin z brytyjskich Indii. – Można przecież za to do Paryża z Belą pojechać! Zresztą, nie tylko do Paryża! Do Londynu! Cała Europa stoi otworem za taką kwotę! Króla Wiktora Emanuela można by znowu odwiedzić, on na pewno chętny by był naszemu powtórnemu pojawieniu się na jego dworze. I to wszystko bez wstydu, ale z godnością ludzką i szlachecką! Z odpowiednią reprezentacją!

Wypiał pierś, na jego twarzy rozkwitł uśmiech, a oczyma wyobraźni widział już pewnie scenę, w której ściska królewską dłoń, a – kto wie – może nawet jakiś order przyjmuje.

Nagle jego wzrok zawędrował w stronę zegara. Zdał sobie sprawę, która jest godzina. Potrząsnął głową i wzdrygnął się cały.

– Dłaczego mi nie mówisz, że już prawie jestem spóźniony! – wykrzyknął z pretensją do kuzynki i pobiegł do swojej sypialni, żeby dokończyć ubieranie się. Po drodze wołał już Mikołaja do pomocy.

Panna Florentyna zaś wróciła myślami do kamienicy i ceny za nią, jej serce zaczęło znowu bić mocniej i ogarnął ją głęboki niepokój. Przez ostatnie dni bowiem usilnie starała się nie myśleć o nadchodzącej

licytacji. Zdawała sobie sprawę, że jeśli kamienica faktycznie sprzedana zostanie za cenę sześćdziesięciu tysięcy rubli, a ta wydawała się najbardziej prawdopodobna i o to o niej mówiła warszawska ulica, będzie to koniec rodziny Łękich. Teraz bowiem jeszcze mogli udawać, że kiedyś jakoś uda im się odbić od dna. Kamienica była tych nadziei symbolem, jakąś obietnicą lepszej przyszłości, mglistym złudzeniem, na które co niektórzy się jeszcze nabierają, sądząc, że czeka Łękich jakaś przyszłość. A co im pozostanie po licytacji? Nic. To mieszkanie i resztki rodowych sreber, które trzeba będzie zastawiać lub sprzedawać. Będzie to koniec tej rodziny. Koniec pana Tomasza. I koniec marzeń Izabeli o dobrym zamażpójściu, bo przecież sama uroda jej nie wystarczy. Najbardziej jednak Florentyna bała się tego, co czeka ją samą. Przecież nie będzie mogła zostać u pana Tomasza! U kogo będzie miała szukać pomocy? Czasami w nocy budziła się, a przed oczyma wyświetlały się jej jeszcze ostatnie powidoki koszmarów, w których trafia do przytułku dla ubogich lub, co już zupełnie nie mieściło się jej w głowie, podejmuje pracę guwernantki lub gorzej.

Co prawda słyszała o pewnej kobiecie o imieniu Małgorzata, z dobrej szlacheckiej rodziny, która straciła majątek w wyniku politycznych zamętów. Małgorzata, zamiast jednak siedzieć bokiem u dalszych krewnych i starać się nie rzucać za bardzo w oczy, wzięła sprawy w swoje ręce i zaczęła pracę jako guwernantka. Tak spędziła dwanaście lat. Zdobyła szacunek i uznanie uczniów, ale ostatecznie odeszła z tej pracy, którą zresztą bardzo sobie chwaliła, żeby założyć własną ochronkę. Wielu pytało, na co to jej. Tyle się uczyła, pracowała na swoją reputację, aby teraz tylko prac, sprzątać i gotować? I to bez pewności, czy będzie miała za co chleb sobie i dzieciom kupić. Ale ona się uparła. Przyjęła pierwsze dzieci. Nawet książki o tym doświadczeniu napisała. I darczyńcy się znaleźli. A ona sama teraz chodzi z wysoko podniesioną głową, wyżej nawet niż niejedna wielka pani, ale nie z powodu urodzenia, a tej dumy właściwej ludziom, którzy kiedyś zaryzykowali, podejmując właściwą decyzję.

Ale czy Florentyna miała w sobie też taką odwagę? Czasami marzyła, że tak właśnie jest. Że i ona odnajdzie swoją ścieżkę w życiu

i nie będzie się musiała zastanawiać, u którego krewnego po kątach mieszkać. Póki co siedziała jednak w saloniku u Łeckich i drżała o swój los.

– Może nie będzie tak źle – wyszeptwała sama do siebie. – Może sprzeda ją za siedemdziesiąt tysięcy. Może siedemdziesiąt pięć.

Ale co to było siedemdziesiąt pięć tysięcy? Po spłacie hipoteki pozostanie piętnaście tysięcy. A pan Tomasz miał też inne długi. A poza długami również ogromny talent do wydawania ponad stan. Na ile im te piętnaście tysięcy starczy? Może rok, zanim powrócą do punktu wyjścia. Będzie to nic więcej niż przedłużanie agonii.

I na tę myśl przeszedł pannę Florentynę straszny dreszcz. Kiedy się z niego otrząsnęła, kątem oka dostrzegła stojącą nieopodal Izabelę. Nie zauważyła, kiedy pojawiła się ona w pokoju i dlatego w pierwszej chwili wzięła ją za jakąś zjawę. Była to jednak panna Łęcka we własnej osobie. Piękna jak zawsze. Stojąca prosto, z lekko zadartym podbródkiem, przypominająca teraz bardziej posąg niż prawdziwą osobę. Wzrokiem śledziła szalejącego ojca, który pośpiesznie zakładał surdut, a potem biegiem ruszył do wyjścia, rzucając jeszcze przez ramię słowa pożegnania. Dopiero, kiedy obie usłyszały trzaśnięcie drzwiami, panna Izabela poruszyła się i skierowała swój wzrok na Florentynę. Na jej twarzy pojawił się spokojny, życzliwy uśmiech.

– Będzie dobrze – rzuciła pogodnie, a potem, bez słowa dalszego wyjaśnienia, ruszyła z powrotem do swoich pokoi.

Te słowa jednak panny Florentyny ani trochę nie uspokoiły. Pozostała sama, wciąż z niepokojem myśląc o swojej przyszłości, która malowała się czarnymi barwami.

2.

Stanisław Wokulski był równie podekscytowany, co Łęcki. Początkowo czas, w którym miała się odbyć licytacja kamienicy pana Tomasza, planował spędzić w sklepie. Zamknięty w swoim kantorku,

całkowicie poświęcając się prowadzeniu ksiąg rachunkowych, które ostatnio zaniedbał. Szybko jednak przekonał się, że jest to właściwie niemożliwe. Zbyt trudno było mu się skupić. Liczby zdawały się stawiać mu złośliwy opór. A on sam czekał niecierpliwie na wiadomość od Szlangbauma z informacją o wygranej licytacji. Kiedy jednak zerkał w stronę ściennego zegara, miał wrażenie, że jego wskazówki stoją nieruchomo. W końcu zdenerwowany zamknął księgę, ubrał się pośpiesznie i nikomu nic nie mówiąc opuścił sklep. Wszedł do pierwszej wolnej dorożki i kazał się zawieźć do gmachu sądu.

Co ty robisz durniu? – myślał, przejeżdżając warszawskimi ulicami. Tyle wysiłku włożyłeś w to, żeby ukryć swoje zaangażowanie w ten interes. Uknuleś cały ten plan, schowałeś się za plecami Szlangbauma. Przygotowałeś intrygę, żeby to on kupił dla ciebie kamienicę Łękich, byleby tylko nikt się nie dowiedział, że bierzesz w tym udział. Przede wszystkim, żeby nie dowiedziała się ONA. A przynajmniej nie teraz, nie w tej chwili, kiedy jeszcze sam nie wiesz, co miałbyś jej powiedzieć i jak to wytłumaczyć. I na samą myśl o tym, że zapyta cię, dlaczego to zrobiłeś, czujesz przerażenie większe niż za czasów tej nieszczęsnej młodzieńczej awantury, kiedy na szali kładłeś swoje życie, niż podczas mroźnych dni i nocy spędzonych na Syberii, czy nawet podczas pobytu w Bułgarii, kiedy raz po raz ryzykowałeś całym swoim majątkiem niby hazardzista uzależniony od ruletki. Liczysz na to, że ona twój czyn doceni, ale jak ma docenić, skoro sam nie potrafisz go wytłumaczyć. Ha! Gdyby faktycznie zadała ci takie pytanie, czy wybąkałbyś coś więcej niż banały, że zamierzałeś chronić ją i jej reputację przed złymi plotkami? Banały, o których przecież oboje wiedzielibyście, że są funta kłaków warte, a nawet mniej? Uknuleś więc ten plan, żeby ukryć się za Szlangbaumem, bo bałeś się, że będziesz musiał jej wytłumaczyć swój uczynek. A teraz sam leziesz do tego sądu, gdzie każdy będzie mógł cię zobaczyć i rozpoznać. Po co umawiasz się ze Szlangbaumem, skoro teraz sam chcesz wszystko zaprzepaścić? Dureń, dureń!

Tak sobie powtarzał w myślach Wokulski, ale nie kazał zawrócić dorożki. Dał się zawieźć pod stary pałac Paca. Wręczył stangretowi

zapłatę, a potem szybkim krokiem skierował się do gmachu. Po drodze postawił kołnierz płaszcza i skłonił głowę, żeby trudniej było go rozpoznać. Odnalazł odpowiednią salę, co udało mu się bez trudu, bo licytacje cieszyły się wielkim zainteresowaniem. Wystarczyło iść za tłumem. Cisnęli go straszliwie, przepychać się musiał i walczyć łokciami. Ścigały go niechętnie spojrzenia i rzucane pod nosem przekleństwa. Przecisnął się wreszcie przez drzwi i stanął z boku, chowając się za grupką starozakonnych.

Sala, w której odbyć się miała licytacja, była tak wielka, że można by w niej i bal urządzić. Podzielona była na dwie części barierką. W tej cywilnej znajdowało się kilka wyplatanych kanap. W części licytacyjnej było podwyższenie, a na nim duży stół pokryty zielonym suknem. Za nim zaś siedziało trzech komorników z łańcuchami zawieszonymi na szyi i nabzdyczonymi grymasami rozlanymi na tłustych twarzach. Wokulskiemu od razu skojarzyli się z rozzłoszczonymi indorami.

Przeniósł wzrok na zebranych. Dziwnie cichych, bo cały harmider pozostawili na zewnątrz, jakby się umówili. Dostrzegł z przodu baronową Krzeszowską, która jako jedyna co pewien czas wydawała z siebie rozpaczliwe jęki i chwyciła za rękaw siedzącego przy niej jegomościa, przyciągała go do siebie i szeptała coś do ucha. Osobnik ten zaś za każdym razem się krzywił, a potem, potakując głową, próbował jej coś tłumaczyć. Zapewne adwokat – pomyślał Wokulski i dalej się rozglądał. Odnalazł Szlangbauma, który stał w towarzystwie innych starozakonnych. Nadzwyczaj był spokojny i ten spokój dodał Wokulskiemu otuchy. Później zauważył Łęckiego. Pan Tomasz dreptał w miejscu. To wsadzał ręce do kieszeni, to je wyciągał. Rozglądał się na wszystkie strony, równocześnie spłoszony i zezłoszczony. Twarz mu na przemian czerwieńiała i bladła tak, że można było obawiać się o jego zdrowie.

– Mówił, że chce za kamienicę sto dwadzieścia tysięcy! – powiedział jeden ze starozakonnych stojących przy Wokulskim. – Sto dwadzieścia! Wyobrażasz ty to sobie! A dlaczego? Bo mu się przyśniło! Przyśniło mu się!

Wokulski zerknął w tamtą stronę i dojrzał, że Żyd rozmawia

z przystojnym blondynem w świetnie skrojonym surducie i ze srebrną dewizką zegarka, wystającą z kieszeni kamizelki. Z powodu letniego upału na czole pojawiały mu się kropelki potu, które wycierał białą chusteczką.

– Ja słyszałem, że chce aż dwieście tysięcy – powiedział blondyn.

– Dwieście! Niby czemu dwieście!?

– Bo zapłacił sto i chce zarobić dwa razy więcej.

– Sto zapłacił! Za tę rudę! To przełacił! I teraz dwieście ma chcieć! Niespełna jest rozumu! Szaleniec!

Wokulskiemu zimne dreszcze przeszły po plecach, kiedy usłyszał kwoty, których oczekiwać miałby pan Łęcki. Oburzyło go też, w jaki sposób Żyd mówił o panu Tomaszu. Zastanawiał się, czy nie powinien zareagować jakoś na tę impertynencję, ale nie chciał przecież zwracać na siebie uwagi. Starozakonny zaś kontynuował swoją przemowę:

– Teraz będzie mieć szczęście, jak pięćdziesiąt dostanie. No, sześćdziesiąt wyciągnie. Może nawet siedemdziesiąt, bo Krzeszowska chętna na tę kamienicę, ale więcej nie... Więcej nie...

Blondyn tylko uśmiechnął się tajemniczo, a kiedy licytacja ruszyła, skłonił się lekko ku starozakonnemu i zaczął przepychać się do przodu.

– Sześćdziesiąt tysięcy i pięćset rubli – powiedział cicho adwokat pani Krzeszowskiej.

– Dalibóg! Więcej nie warto – wtrącił jakiś jegomość z miną lajdaka.

Baronowa odwróciła się, dojrzała pana Tomasza i posłała mu triumfujące spojrzenie, które zaraz zgasło, kiedy usłyszeli głos mężczyzny stojącego z boku.

– Sześćdziesiąt pięć...

Licytacja toczyła się dalej. Cena błyskawicznie skoczyła do siedemdziesięciu pięciu tysięcy.

– Umieram! – wykrzyknęła wtedy baronowa i wybuchnęła płaczem. Zaraz pojawił się przy niej nie wiadomo skąd Maruszewicz. Wyprowadził szlochającą kobietę, która jednak nie była aż tak zrozpaczona, żeby po drodze nie obrzucić obelgami adwokata, sędziów,

licytantów i komorników. A używała takiego języka, że niejedna kobieta z Powiśla prędzej spłonęłaby ze wstydu, niż wydusiła z siebie takie słowa.

Kiedy baronowa wyszła, na sali się uspokoiło.

– Osiemdziesiąt tysięcy i sto rubli...

Uspokojony Wokulski pomyślał, że wszystko idzie w dobrą stronę. Zaraz cena dojdzie do uzgodnionych wcześniej dziewięćdziesięciu tysięcy rubli i Szlangbaum wygra licytację. Nic tu po nim. Wróci do sklepu, dokończy rachunki.

Ruszył więc w stronę wyjścia i po przejściu kilku kroków dostrzegł Rzeckiego. Stary subiekt stał ledwie kilka metrów od niego i nie zauważył Wokulskiego tylko dlatego, że oddzielał ich gęsty tłum.

A ten co tu robi? – pomyślał Wokulski, zaskoczony zarówno obecnością starego subiekta, jak i nagłym wstydem, który spadł na niego niby górską lawina i przygniótł odbierając dech w piersiach. Poczuł się jak wtedy, kiedy zszedł do piwnicy, żeby pożegnać się z Machalskim, a ci durnie od Hopfera odebrali mu drabinę. Jaki się wtedy wydawał samemu sobie mały i głupi. Chciał iść na uniwersytet, pobierać nauki, a dał się wystrychnąć na dudka bandzie głąbów, co ledwo potrafiła klienta obsłużyć. Ale wtedy towarzyszył mu też gniew i to ten gniew pomógł mu wydostać się z pułapki. A teraz na kogo niby miałby się gniewać? Na Rzeckiego?! A niech subiekt chodzi gdzie mu się podoba, Wokulskiemu przecież nic do tego. Co najwyżej mógł się złościć na samego siebie.

Dość, pomyślał. Czas stąd wreszcie wyjść. Odepchnął stojącego przed nim mężczyznę, który próbował zaprotestować, ale rzut oka na wyraz twarzy Wokulskiego sprawił, że natychmiast spokorniał.

– Dziewięćdziesiąt tysięcy rubli...

Czyli już – pomyślał Wokulski w progu i miał skierować się na korytarz, a potem dalej, schodami w dół i na ulicę, żeby łapać dorożkę, kiedy z sali dobiegł kolejny głos.

– Dziewięćdziesiąt pięć tysięcy rubli!

Zatrzymał się i zmarszczył brwi. Czyżby Szlangbaum źle zrozumiał instrukcje? A może to jeden z wynajętych ludzi, którzy

podbijać mieli cenę, dał się ponieść swojej gorliwości, licząc na dodatkowy zarobek? Wokulski odwrócił się z powrotem w stronę sali. Z tłumu dochodziło szemranie, zebrani szeptem wymieniali ze sobą uwagi na temat przebiegu aukcji. On zaś rozglądał się za tym człowiekiem, który podbił cenę, ale nie potrafił go dostrzec.

– Dziewięćdziesiąt pięć tysięcy rubli po raz pierwszy! – krzyknął licytator.

Wokulski dostrzegł Szlangbauma. Żyd wydymał wargi, zastanawiając się, co powinien teraz zrobić. Podbić cenę czy odpuścić. Nie wiedział, bo przecież na taki wypadek nie dostał żadnych instrukcji. Licytacja skończyć się miała na cenie dziewięćdziesięciu tysięcy rubli, i tak znacznie przekraczającej wartość kamienicy. Ktoś szarpał Szlangbauma za rękaw, Wokulski z tej odległości nie widział kto, ale ten odganiał się od niego jak od natrętnej muchy.

– Dziewięćdziesiąt pięć tysięcy po raz drugi!

A co, jeśli to faktycznie ktoś zatrudniony przez Szlangbauma do podbicia ceny? Taka osoba przecież nie ma pieniędzy! Po wszystkim okaże się, że nie ma za co kupić kamienicy, a kiedy wyjdzie to jaw, licytację trzeba będzie powtórzyć. Jaki to będzie wstyd dla pana Tomasza, a zwłaszcza dla panny Izabeli! Ale przecież będzie się można z nim jakoś dogadać, podpisać weksel... Pięć tysięcy więcej niż planował, ale jakoś to przełknie. Tylko co, jeśli to ktoś od baronowej Krzeszowskiej? Co, jeśli odstawiła ten teatr z wcześniejszym wyjściem, żeby podobnie do Wokulskiego kupić kamienicę przez kogoś podstawionego? To jeszcze trudniejsze będzie dla Izabeli.

Takie to myśli przelatywały jedna po drugiej przez głowę Wokulskiego, sprawiając, że zupełnie stracił orientację, co się wokół dzieje.

– Sto tysięcy! – krzyknął ktoś i Wokulski dopiero po chwili zorientował się, że to on sam dołączył do licytacji.

Natychmiast wszystkie spojrzenia skierowały się w jego stronę. Niektóre zaskoczone, inne rozbawione, inne wreszcie pełne zrozumienia, jakby potwierdzał właśnie podejrzenia ich właścicieli. Był też wreszcie pan Tomasz, w którego oczach dostrzec się dało czystą

wdzięczność. I Rzeckiego, który zdawał się być zszokowany. Podniósł dłoń do piersi i przycisnął mocno do serca, jakby zaraz miał stracić przytomność. W tym tłumie jednak, nawet gdyby to się stało, nie upadłby na ziemię. Przytrzymałyby go bowiem ciała innych osób.

– Sto pięć tysięcy! – odezwał się ktoś z przodu.

Ludzie stojący pomiędzy tą osobą a Wokulskimi rozsunęli się na boki. Jakby domyślali się, że nie biorą już udziału w zwyczajnej aukcji, ale w dziwnym pojedynku. Sala sądowa zmieniła się w arenę, a ci dwaj zamienili się w średniowiecznych rycerzy. Tyle, że zamiast mieczami, walczyć będą za pomocą pieniędzy. I tak Wokulski po raz pierwszy ujrzał owego blondyna w świetnie skrojonym surducie, który uśmiechał się szelmowsko, jakby brał udział w jakiejś świetnej hecie.

– Sto pięć tysięcy po raz pierwszy!

Kim jest ten człowiek? – zastanawiał się gorączkowo Wokulski. Nie mógł pracować dla Szlangbauma, bo do tego czasu ten dałby mu jakoś znak, żeby przestał licytować. Czyli zostawała Krzeszowska! Ale skąd ona miałaby wziąć takie pieniądze?! Zapożyczyła się? Zastawiała wszystko, żeby tylko upokorzyć Łęckich? Od dawna była z nimi w konflikcie i jak najgorzej im życzyła. Cieszyłaby się, mogąc kupić ich kamienicę. Ależ by się potem puszyła!

– Sto pięć tysięcy po raz drugi!

Jakież byłoby to upokorzenie dla panny Izabeli. Nie mógł pozwolić, żeby musiała ona znosić tryumf baronowej!

– Sto dziesięć tysięcy! – zakrzyknął.

Łęcki aż podskoczył z radości.

– Sto piętnaście tysięcy – odpowiedział spokojnie blondyn, nie czekając na licytatora.

– Sto dwadzieścia! – wszedł w rytm licytacji Wokulski.

Trzydzieści tysięcy, przemknęło mu tylko przez głowę. O trzydzieści tysięcy rubli więcej niż planował. Ileż za to mógłby towaru kupić, ilu ludzi zatrudnić, ilu z biedy wyciągnąć. A on to wyrzuca prosto do kieszeni Łęckiego. I dlaczego? Dla jednego przychylnego spojrzenia panny Izabeli? Spojrzenia, którego przecież nawet nie mógł być pewien.

– Sto dwadzieścia pięć tysięcy!

Trudno, niech tam! On ryzykował życie w Bułgarii, on nie spał, harował, znosił niewygody, byleby tylko się dorobić, byleby zdobyć majątek. Skoro chciał go teraz rzucić na zmarnowanie, to miał do tego prawo.

– Sto trzydzieści tysięcy! – wrzasnął na całe gardło, a zawierał się w tym wrzasku gniew na wszystkie upokorzenia, które znosić musiał przez swoje młodzińcze lata. Na tych ludzi, którzy przez wszystkie te lata, zamiast podać mu rękę, woleli spychać go w dół, byleby tylko ich nie przerósł, nie pokazał, że można, że się da, że możliwym jest się stać kimś lepszym, niż przeznaczył dla nas los.

– Sto trzydzieści pięć...

– Sto czterdzieści! – krzyknął Wokulski nawet nie pozwalając dokończyć blondynowi. Teraz dopadło go jakby szaleństwo. Przed oczyma przeskakiwały mu twarze to dawnych kolegów od Hopfera, co zabrali mu drabinę, to panny Łęckiej, to tych wszystkich szlachciców, co tak chętnie dawali mu pieniądze na wysoki procent, a po kątach gadali o nim, że on tylko zwykły kupiec. No to skoro jestem kupcem, to kupuję! A niech patrzą!

– Sto czterdzieści pięć...

– Sto pięćdziesiąt!

Wtedy poczuł, że ktoś go chwyta za rękaw surduta. Odwrócił się i ujrzał przed sobą Rzeckiego, który jakoś przepchnął się do niego przez zwartą ciżbę, która wypełniała salę teraz jeszcze szczelniej niż dotychczas. Po całym sądzie rozniosła się bowiem wieść, do jakiego widowiska dochodzi na tej licytacji. I że nie można go przegapić, bo jest to coś, o czym będą opowiadać latami.

– Co robisz, Stachu? – zapytał Rzecki.

Wokulski odepchnął go.

– Sto pięćdziesiąt pięć!

– Sto pięćdziesiąt sześć! – odkrzyknął i dopiero teraz dotarło do niego, że wokół zapadła jakaś dziwna cisza. Bo na sali ciągle gadano, jeden przez drugiego. Wskazywali palcem to na Wokulskiego, to na tajemniczego blondyna i odnieść można było wrażenie, że sala sądowa

zmieniła się w targowisko. Ale tu obok powstał jakiś kokon. I Wokulski dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to Rzecki leży przed nim na ziemi. Odepchnięty, poleciał jak długi i jakimś cudem piekielnym znalazło się tym razem miejsce, żeby wyłożyć się na podłogę.

– Sto pięćdziesiąt siedem!

– Sto sześćdziesiąt! – wrzasnął, ale już instynktownie, już odruchowo, bo wzrok wbijał w Rzeckiego, który powoli i z trudem podnosił się z ziemi. Pomagały mu ręce obcych ludzi, ale żadna z tych dłoni nie należała do Wokulskiego.

Co ja zrobiłem? – pomyślał. – Tak potraktować Rzeckiego. Jedyne, który zawsze we mnie wierzył. Jedyne, który mi pomagał. Jedyne, w którym mogłem znaleźć oparcie.

– Sto sześćdziesiąt tysięcy po raz pierwszy!

Co ja zrobiłem? – powtórzył z przestrawieniem w myślach. Właśnie chciał wydać sto sześćdziesiąt tysięcy na kamienicę, która nie była warta siedemdziesięciu! I po co? Dla kogo? Co w zamian zyska? Był kupcem, tak o nim mówili, to powinien umieć liczyć!

– Sto sześćdziesiąt tysięcy po raz drugi!

Sto sześćdziesiąt tysięcy! Ponad połowa tego, co przywiózł dla siebie z Bułgarii po spłaceniu współników, którzy zainwestowali w tę jego szaloną wyprawę. Ile to byłoby miesięcy jego pracy? Ile nieprzespanych nocy, kiedy drżał pod marnym kocem niepokojąc się nie tylko o majątek, ale i o życie? Ile wysiłku, od którego pękała głowa i serce? I po co? Dla jednego przychylnego spojrzenia kobiety, która inaczej nie zwróciłaby na niego uwagi? Dla kobiety, która pewnie, gdyby się znalazła wtedy w tamtym sklepie razem z innymi, wyciągnęłaby mu drabinę z piwnicy, a potem patrzyła ze śmiechem, jak próbuje wydostać się z lochu?

– Oszalałem – wyszeptał – Oszalałem.

Ale pomimo tego, co mówił i co było według niego prawdziwe, myślał teraz z niezwykłą jasnością.

– Sto sześćdziesiąt jeden tysięcy! – krzyknął blondyn.

Wokulski chwycił się za twarz i stłumił okrzyk ulgi, który właśnie rodził mu się w gardle. Gdyby mógł, gdyby nie dzieląca ich odległość,

rzuciłby się teraz do nóg blondyna i całował jego dłonie.

– Sto sześćdziesiąt jeden tysięcy po raz pierwszy...

Nie słyszał już ciągu dalszego. Nie zwracał już uwagi na to, co się wokół działo. Chciał podbiec do Rzeckiego. Chwycić go w ramiona, przycisnąć do piersi i przeprosić z całego serca. Ale kiedy zaczął go szukać, starego subiekta już na sali nie było.

3.

Tego samego dnia Tomasz Łęcki przyszedł w odwiedziny do sklepu, domagając się spotkania z właścicielem. Wokulski jednak nie miał sił ani ochoty z nim rozmawiać. Zmagał się ze wstydem, który nie chciał go opuścić po tym, jak potraktował Rzeckiego, oraz gorączką, która trzymała się go nawet po opuszczeniu sądu. Ból głowy zelżał dopiero pod wieczór. Wtedy też nabrał trochę sił i odwagi, żeby odwiedzić starego subiekta.

Rzecki, dobra dusza, przywitał Wokulskiego serdecznie. Przyjął też przeprosiny, ale żadnych tłumaczeń ze strony Stanisława słuchać nie chciał. Na same wspomnienie o wydarzeniach w sądzie natychmiast zmieniał temat. Wokulski zdał sobie sprawę, że Rzecki jest z jakiegoś powodu jeszcze bardziej tamtymi wypadkami skrzępowany od niego. Rozmawiali więc o tym, o czym stary subiekt rozmawiać lubił najbardziej – o polityce i Napoleonie. Wieczór upływał im tak miło, że zeszło nawet na przygody pana Rzeckiego na Węgrzech, o których opowiadał Wokulskiemu rzadko i zazwyczaj niechętnie, jakby ciągle było w tych wspomnieniach coś, co go dręczyło i nie dawało spokoju. Zeszło im tak do późna.

Następnego dnia rano Wokulski został przez umyślnego poinformowany, że pan Łęcki pilnie go oczekuje. Niechętny był tej wizycie. Natychmiast po otrzymaniu zaproszenia jego ciało opanowała dziwna słabość, jakiej nie doznał nigdy w życiu i najchętniej położyłby się do łóżka. Uznał jednak, że odmowa zostałaby uznana za grubą

i niezrozumiałą nieuprzejmość. Niechętnie więc, ale zebrał się i ruszył w drogę do mieszkania pana Tomasza.

Natychmiast po przekroczeniu progu zadziwiła go atmosfera, jaka panowała u Łeckich. Zasłony we wszystkich oknach były zaciągnięte, w pokojach panował więc półmrok. Dziwiła też cisza, która zdawała się być podobna do ciężkiej, duszącej mgły. Słowem, atmosfera w mieszkaniu bardziej przypominała tę panującą w domu, w którym przeżywano żalobę po stracie najbliższej osoby, a nie u kogoś, kto właśnie sprzedał kamienicę za sto sześćdziesiąt jeden tysięcy rubli.

Kamerdyner poprowadził Stanisława do pokoju pana Tomasza. Wokulski nigdzie po drodze nie dostrzegł panny Izabeli, co przyjął z ulgą i radością. Zadziwiło go jednak to, że nawet jej nie wypatrywał. Wcześniej podczas takich wizyt wodził wzrokiem na prawo i lewo w nadziei, że ujrzy chociaż, jak przemyka gdzieś z jednego pokoju do drugiego. A jeśli nie przemknie, to dojrzy chociaż skraj jej sukni. A jeśli i to się nie zdarzy, choć sam jej cień. Tym razem jednak to, czy była w mieszkaniu czy nie, było mu zupełnie obojętnym.

Wyleczony? – myślał i zastanawiał się dalej – czyżbym był kompletnie wyleczony? Miałaby z miłości leczyć niemalże pewna utrata stu sześćdziesięciu tysięcy? Taka była więc cena tego uczucia? Zabawne, że da się to wymierzyć taką precyzyjną miarą, pomyślał. No, ale przecież nie o pieniądze tutaj chodzi – przypomniał sobie i przed oczyma pojawił mu się obraz przewróconego przezeń Rzeckiego. Skrzywił się, bo sprawiło mu to fizyczny wręcz ból.

Tego potrzebowałem, żeby wrócić do zmysłów – pomyślał – z ataku skrajnego szaleństwa.

Pan Tomasz leżał w łóżku, kompletnie ubrany, jakby faktycznie kładł się do grobu. Oczy miał zamknięte. Na jego czole położono zimny kompres. O tym, że żyje, świadczył jedynie ruch jego klatki piersiowej. Ta unosiła się z trudem w górę, a potem opadała natychmiast w dół, jakby każdy oddech był dla Łeckiego wyjątkową nieprzyjemnością.

Kamerdyner wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Wokulski stał kilka kroków od łóżka, niepewny, co właściwie powinien teraz zrobić. Pan Łecki leżał wciąż nieruchomo. Jedynym zaś dźwiękiem, który

rozlegał się w pokoju, było jednostajne tykanie zegara. Wokulski chrząknął, żeby dać znać o swojej obecności. Nie przyniosło to jednak żadnych rezultatów. Uznał więc, że pan Łęcki śpi. Być może powalony atakiem migreny, co sugerowałby kompres na czole. Nie wiedział jednak, po co go wezwano do chorego, któremu bardziej przydałby się w tych okolicznościach lekarz niż on.

– Czterdzieści tysięcy – odezwał się pan Tomasz, kiedy Wokulski szykował się już do wyjścia po angielsku. – Czterdzieści tysięcy kosztował mnie ten przebiegły Szlangbaum.

– Słucham?

Pan Łęcki zrzucił gniewnym gestem kompres z czoła, a ten upadł koło nóg Wokulskiego. Poderwał się też z niespotykaną gwałtownością do pozycji siedzącej, a jego twarz, dotychczas niezdrowo blada, nagle nabrała czerwonego, a nawet niemalże szkarłatnego odcienia.

– Dwakroć drożej sprzedał kamienicę! Ja zapłaciłem za swoją sto tysięcy! Ile więc powinienem dostać? No ile, panie Wokulski! Dwieście tysięcy! Dwieście! A pewnie i więcej była warta! A ile dostałem? Sto sześćdziesiąt jeden! Czterdzieści tysięcy mnie Szlangbaum kosztował! Czterdzieści! Najmniej czterdzieści! Pewnie więcej! Sześćdziesiąt! Osiemdziesiąt! Parszywy to człowiek! Parszywy! I wszystko, co o nim mówią, to przysięgam panu panie Wokulski, wszystko to jest prawdą! – pan Łęcki wyrzucał z siebie chaotycznie słowa i machał przy tym ramionami, jakby rozpędzał niewidzialny tłum.

Wokulski zaczął się obawiać, że ma przed sobą osobę, która stała się ofiarą jakiegoś ostrego ataku szaleństwa. Pomyślał, że niektórych doprowadza do takiego stanu nagła miłość, a innych chciwość. Nie potrafił jednak pozbyć się uczucia, że patrzy w lustro. Być może nie takie zwyczajne zwierciadło, ale jedno z tych sprytnych lusterek z gabinetów śmiechu, które znajdują się w lunaparkach, gdzie obraz zawsze jest groteskowo wykrzywiony, zmieniony, pomniejszony, powiększony lub zabawnie wyciąga członki. Niemniej zawsze patrzymy tam na siebie. I teraz ten człowiek, oszalały z żądzy pieniędzy, był jak sam Wokulski ledwie poprzedniego dnia.

– Dogadali się! Dogadali! – szeptał gorączkowo Łęcki. – Pan

widział tam Szlangbauma? On coś kombinował! Widziałem to w jego oczach! Stałem niedaleko, patrzyłem wprost na niego i widziałem! Widziałem!

– Ten blondyn nie wyglądał na kogoś od Szlangbauma – odważył się odezwać Wokulski.

– Bo go podstawili! – ryknął Łęcki – Sprytny jest! Nie chce uwagi na siebie zwracać. Szlangbaum nie gada, nie popisuje się, po prostu robi swoje i patrz pan, jak on na tym wychodzi!

Nagle doskoczył do Wokulskiego. Chwycił go za ręce i ścisnął boleśnie.

– Dziękuję, że pan tam był i licytował! – wykrzyknął – Z całego serca dziękuję! Pan jest mój obrońca i dobrodziej! Gdyby nie pan, to pewnie i za dziewięćdziesiąt tysięcy by ta kamienica poszła. Wtedy dopiero Szlangbaum by się cieszył! Śmiałyby się w kułak! Ale pan mu nie pozwolił! Pan dzielnie licytował. Ale powiedz mi jedno panie Wokulski, jedno tylko powiedz... – ostatnie słowa Łęcki wypowiedział już szeptem, zbliżając swoją twarz do twarzy pana Stanisława.

– Tak?

– A nie dałoby się tak dalej licytować? Jeszcze podnieść cenę! O dziesięć tysięcy chociażby! Dziesięć!

Wokulski poczuł narastające w nim obrzydzenie. On pracował przez blisko rok, ryzykował majątkiem swoim i powierzonym mu przez wspólników, zdrowiem, a nawet życiem. A ten człowiek w jeden dzień, bez wysiłku, sprzedał kamienicę za ponad połowę tego, co Stanisław przywiózł z Bułgarii i jeszcze było mu mało. Przecież większość ludzi wznosiłaby modły pochwalne i na kolanach pielgrzymowała do Częstochowy, gdyby mieli dostęp do małego ułamka takiej sumy! O całości zaś nigdy nawet nie myśleli, nie potrafili jej sobie nawet wyobrazić, bo była ona dla nich równie realna, co bajania o księżycowych podróżach z powieści pana Verne'a.

– A może da się to jeszcze unieważnić? – wysapał nieoczekiwanie Łęcki – Przecież to szwindel był obrzydliwy! Unieważnić to trzeba! Urządzić jeszcze jedną licytację. Byleby Szlangbauma nie wpuszczać na salę. Co pan o tym myślisz, panie Wokulski? Dałoby się to zrobić?

Zna pan jakiegoś łębskiego adwokata, który podjąłby się takiej sztuki?

– Przykro mi, ale nikt mi nie przychodzi do głowy.

Łęcki odrzucił dłonie Wokulskiego, które ciągle ścisnął, jakby nagle stały mu się obrzydliwe. Spojrzał też na niego z urazą. Zrobił dwa kroki w stronę łóżka, jakby chciał znowu na nim zalec, ale w ostatniej chwili się zatrzymał.

– A pan przyjmiesz, panie Wokulski, moje pieniądze do siebie, prawda? – zapytał. – Sto tysięcy po spłacie długu mi zostanie! Weźmiesz pan je na jakiś miły procencik, prawda? Dwadzieścia procent może? Albo dwadzieścia pięć, bo to przecież spora suma, a taką da się obracać?

Oczy błyszczały mu niezdrowo.

– Przemyśle – odpowiedział sucho Wokulski. A potem skłonił się i bez słowa opuścił pierw pokój, a potem mieszkanie Łęckich.

Po wyjściu z kamienicy nie skierował się jednak od razu na ulicę, żeby szukać dorożki, ale przystanął na podwórku. Oparł się o ścianę nie zważając na to, że pobrudzi w ten sposób ubranie. Oddychał ciężko. Potrzebował zebrać siły i odpocząć trochę po rozmowie z panem Łęckim. Zastanawiał się, czy on również był tak opętany myślą o pannie Izabeli i czy podobne wrażenie robił na ludziach. Kiedy tak o tym rozmyślał, z kamienicy wyszedł jeszcze jeden człowiek. Wydawał się Wokulskiemu, że go zna, ale nie wiedział, skąd. Dopiero kiedy tamten, mijając Wokulskiego, pokłonił się, pan Stanisław go rozpoznał. Był to ten blondyn z sądu, z którym ledwie wczoraj się licytował. Teraz wyglądał jednak inaczej. Przede wszystkim ubranie miał bardziej liche, tańsze. Buty już nie wyglancowane, ale inne, brudne, domagające się wizyty u szewca. Nie wyglądał jak ktoś, kogo byłoby stać, żeby wydać na kamienicę sto sześćdziesiąt tysięcy. Szczerze mówiąc, gdyby Wokulski w jego pugilaresie znalazł choć dziesięć rubli, byłby więcej niż zaskoczony.

Tylko co on tutaj robił? Kogo odwiedzał? Nagle w głowie Wokulskiego pojawiło się podejrzenie, że mógł on być u Łęckich. Czy to dlatego pan Tomasz był w takiej gorączce? Zatrudnił człowieka, który miał podbijać cenę licytacji, ale ten przedobrzył i sam ją wygrał?

Wymarzony interes pana Tomasza niczym by się wtedy nie różnił od sennej zjawy, która znika wraz z otwarciem oczu o poranku. Tłumaczyłoby to wtedy jego gorączkę i bredzenie.

Wokulski bez zastanowienia podbiegł do blondyna i zatrzymał go w bramie, nim ten zdążył wyjść na ulicę.

– Pan wybaczy – krzyknął, a młodzieniec odwrócił się w jego stronę. – Czy pan tu mieszka?

– Nie – odpowiedział blondyn – W odwiedzinach byłem.

– A u kogo?

W oczach blondyna pojawiła się iskra podejrzliwości. A może i on rozpoznał Wokulskiego, bo nagle jakby zrobił się ostrożny w gestach i słowach.

– Pan wybaczy, ale chyba nie wypada mi tego zdradzać. Poza tym... – przełknął ślinę – nie wydaje mi się, żeby to była pana sprawa. Z całym szacunkiem dla pana.

– Byłeś pan u Łeckich.

Blondyn zagryzł wargi, ale nic powiedział. Ani nie zaprzeczył, ani nie potwierdził. Ale Wokulski miał już pewność. Pan Tomasz wpadł we własne sidła. Faktycznie oszalał z chciwości, ale to dlatego, że chciwość przyniosła mu nie sukces, a zgubę. Musiał jednak pan Wokulski usłyszeć to od blondyna. Sięgnął więc do kieszeni i wyciągnął stamtąd dwa banknoty po pięćdziesiąt rubli każdy. Wyciągnął je w stronę blondyna, który porwał je błyskawicznie tak, jak bezdomny pies porywa porcję mięsa.

– Byłem u Łeckich – potwierdził.

– Co pan Tomasz ci mówił?

– Pan Tomasz? – zdziwił się blondyn – Ja się rozmówiłem odnośnie mojej zapłaty z panną Izabelą!

4.

Stanisław Wokulski zachował się co najmniej niestosownie, wchodząc do mieszkania pana Łęckiego bez wcześniejszej zapowiedzi i bez wyraźnego zaproszenia. A nawet bez pukania. Po prostu wparował do środka, zupełnie nie przejmując się konwenansami i zwykłym wychowaniem. Przemaszerował korytarzami niczym węgierska piechota i wszedł do pokoju panny Łęckiej. Zastał ją siedzącą w obitym kolorową tkaniną fotelu przy oknie, promienie letniego słońca padały na jej pierś, twarz schowana była w lekkim cieniu, a na kolanach trzymała otwartą książkę. Na widok Wokulskiego zamknęła ją i odłożyła na stoliczek obok.

Przyglądała się uważnie Wokulskiemu. Gestem odprawiła kamerdynera, który pojawił się zaraz, zaalarmowany nagłym hałasem i gotowy do reakcji, gdyby trzeba było zająć się niespodziewanym gościem. Izabela Łęcka poczekała, aż znowu zostaną sami i dopiero potem odezwała się głosem cichym, ale przepełnionym pewnością siebie, co sprawiało, że chociaż był to szept, jakimś cudem wypełnił cały pokój.

– Doniesiono mi, że kosztował mnie pan siedemdziesiąt tysięcy rubli – powiedziała i podniosła w górę palec. – Co najmniej!

– Pani mi wybaczy – odezwał się Wokulski po chwili, zdumiony tym, jak wielki wysiłek kosztowało go wyduszenie z gardła każdego słowa. – Gdybym wiedział, że to z panną licytuje, dawno bym zaprzestał.

Kąciki jej ust powędrowały lekko w górę.

– Powinieneś być pan zaprzestać wcześniej. Na mieście mówią, że ta kamienica warta jest góra sześćdziesiąt tysięcy. Niech będzie, że siedemdziesiąt. Pan byłeś gotowy zapłacić dwa razy więcej.

– Czasami człowiek tak mocno pragnie coś posiadać, że ta żądza odbiera mu zmysły – wycharczał.

– Masz pan w takim razie niezwykłą słabość do nieruchomości

– oznajmiła Łęcka.

Tym razem i Wokulski się uśmiechnął. Szeroko i szczerze.

– Pani również była gotowa przeplącić. I zrobiła to pani.

– W moim przypadku jest to raczej przekładanie pieniędzy z mojej kupki do kieszeni mojego ojca – odpowiedziała po chwili. – Koniec końców zostaną one w rodzinie i mam nadzieję, że będę mogła również czerpać z nich korzyści. Chociaż przyznaję, niepokoi talent mojego ojca do trwonienia dowolnych sum. Dlatego miałam nadzieję, że weźmie go pan w finansową opiekę. Jestem pewna, że ojciec już o to pana prosił, równocześnie oczekując jakiegoś absurdalnego procentu. Dwudziestu pięciu, jak sądzę? Mam nadzieję, że pan na to nie przystał? Powinien się zadowolić piętnastoma. To aż nadto na jego potrzeby.

Wokulski przysłuchiwał się jej coraz bardziej zszokowany i aż potrząsnął głową, żeby wyrwać się jakoś z tego oszołomienia. Patrzył bowiem i nie wierzył, że rozmawia właśnie z tą samą osobą, której tyle razy przyglądał się z oddali w teatrze, której wrzucał do skarbonki złote ruble na charytatywnych kwestach, do której zbliżyć się chciał tak bardzo, że prawie zmarnotrawił cały swój majątek. I dla której zresztą ten majątek zdobył. Tyle, że tamta Izabela wydawała mu się jaką zjawą, ułudą. Zlepkiem zwiewnych mgieł, pragnień i wyobrażeń. Ach, jak teraz dobrze widział, że nie było w niej nic prawdziwego. Bo też on nic prawdziwego w niej dostrzec nie chciał. Wolał ułudę, którą podsuwał mu ogarnięty miłosną gorączką umysł.

Ale jedna kwestia nie dawała mu spokoju.

– Sto sześćdziesiąt tysięcy to jest bardzo dużo pieniędzy – odezwał się po chwili, z wahaniem, bo wydawało mu się niezręcznym mówić o rzeczach tak oczywistych. Bo to było tak, jakby mówił do tej panny Izabeli, która jeszcze przed kilkoma dniami zamieszkiwała w jego głowie, a nie do tej prawdziwej, która stała teraz przed nim. – Czy pani...

– Czy dysponuję takim kapitałem? – zapytała, wstając z fotela.

– Dysponuję. Proszę się tym nie niepokoić.

– Ale skąd... – zaczął pytanie, bo przecież cała Warszawa wiedziała, w jakiej kiepskiej kondycji finansowej jest pan Łęcki, ale nie

dokończył, bo uznał, że byłoby to niegrzeczne.

Panna Izabela podeszła do okna. Teraz światło padało na jej twarz i żaden, najmniejszy nawet cień, nie skrywał jej niezwykłego piękna.

– Dzięki panu – odpowiedziała – za co jestem panu ogromnie wdzięczna, ale, i tutaj przyznaję, jestem winna i może się pan słusznie na mnie gniewać, jeszcze panu tej wdzięczności nie okazałam.

– Ale jak to... – znowu nie udało mu się dokończyć. Dziwnie mu teraz było. Czuł się jak uczeń w szkole, który stoi przed surowym nauczycielem przy tablicy i nic nie potrafi z siebie wydusić. I może podobnie było teraz z panną Izabelą, bo i ona długo stała w milczeniu ze spuszczonej oczyma. Zdawało się, że szuka w głowie odpowiednich słów, o czym świadczyła pojedyncza zmarszczka, która pojawiła się na jej gładkim do tej pory czole.

– Pan mi wybaczy, ale nie był pan zbyt dyskretny w swoim zainteresowaniu moją osobą – odezwała się wreszcie, a na policzkach Wokulskiego w tej samej sekundzie wykwitł soczysty rumieniec. – A wobec tego i ja zaciekałam się, kim pan jest. Kupiec. Z własnym sklepem i pewnym majątkiem. A także historią człowieka, który kulom się nie kłaniał i przyzwyczajony jest do podejmowania ryzyka.

– Stare dzieje – mruknął Wokulski, ciągle zawstydzony – i szaleństwa młodości.

– Rozmawiałam o panu także z panią Prezesową, która gdy tylko dowiedziała się o pańskim istnieniu, nabrała do pana dziwnej słabości. Jak rozumiem, z powodu jakichś wydarzeń z czasów własnej młodości i znajomości z pana krewnym.

– Zgadza się – przytknął.

– Ona także się panem zainteresowała. I kiedy dowiedziałyśmy się, że planuje pan wyprawę do Bułgarii w celach handlowych, postanowiłyśmy wspomóc pana dostarczając niezbędny kapitał.

Wokulskiemu zrobiło się sucho w gardle. Jadąc do Bułgarii wziął trzydzieści tysięcy rubli własnego majątku. Drugie tyle zdobył od inwestorów, którzy wykupili u niego udziały w tym przedsięwzięciu. A właściwie od inwestorki, była to pani Prezesowa. Pewnego dnia, ku

jego zdumieniu, wezwała go do siebie, a po długiej rozmowie i kilku wizytach zdecydowała się dostarczyć mu tak potrzebny na rozruch kapitał. Naciskała jednak w tej sprawie na dyskrecję, żeby warszawska ulica nie plotkowała o jej interesach. Wokulski to uszanował. Domyślał się też, że pani Prezesowa nie tylko jemu powierzyła swoje pieniądze. Nie żyła ona bowiem tylko przejadając wdowi majątek, ale całkiem sprawnie nim zarządzała. Nie wiedział jednak, że w puli, którą dostał, znajdował się też kapitał panny Izabeli.

– Ale to i tak musiało być kilkanaście tysięcy – powiedział. – Skąd pani je miała?

– Pani Prezesowa w swojej dobroci zdecydowała się udzielić mi pożyczki – oznajmiła Izabela – pod zastaw przyszłego, obiecanego posagu. Muszę przyznać, że pani Prezesowa okazała tutaj ogromne serce, ponieważ mój posag, biorąc pod uwagę aktywność mojego ojca, był więcej niż wątpliwy...

Zawiesiła głos i przez długą chwilę milczeli wspólnie, zatopieni w swoich myślach.

– Dlaczego? – odważył się wreszcie zapytać Wokulski.

– A jak pan myśli? – odpowiedziała mu pytaniem Łęcka, a potem westchnęła i ciągnęła. – Zawarłam zakład z losem stawiając na pana, wiele ryzykowałam, ale jakie miałam wyjście, jeśli chciałam wreszcie mieć wpływ jakiś na własne życie? Bo jaki wybór miałam? Albo czekać na jakiegoś łaskawcę, który zacznie się o mnie starać, będzie mieć odpowiedni majątek i klasę, albo skapitulować przed kimś takim, jak marszałek, który ma obie te rzeczy, ale także wiek, który obiecuje raczej rychłe wdowieństwo niż małżeńskie szczęście.

Wzięła głęboki oddech, zerknęła na niego szybko i teraz to ona poczuła się niezręcznie. Wokulski pomyślał, że domyślała się jego uczuć – trudno zresztą, żeby było inaczej – i zrobiło jej się przykro, że mogła urazić go swoimi słowami. Ale tak nie było. Ponieważ jeśli cokolwiek go urażało, to jego własna głupota. Miłość zawsze karmi się złudzeniami, przeszło mu przez głowę, ale źle jeśli te złudzenia tak bardzo zasłaniają rzeczywistość, że prawdziwy świat zdaje się już nie istnieć.

– Oczywiście byłam wtedy bardzo głupia – odezwała się, a w jej głosie słyhać było rozbawienie i szczerść – bo chociaż nie łatwe, ale były też przede mną inne drogi. Rozwiązania, które wymagałyby poświęceń, ale byłyby obietnicą życia na własnych warunkach.

Podniosła nagle głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

– Człowiek szybko dojrzewa, kiedy zaczyna mieć własne pieniądze. Nie uważa pan? – zapytała.

Przytknął.

– Też się pan tak czuł wtedy, kiedy ich nie miał?

– Jak?

– Głupio?

Zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią. Jak się wtedy czuł? Głupio? Niekoniecznie. Dużo w nim było brawury, niepotrzebnej może zaciętości, ale miał w głowie wyznaczony cel i dążył do niego uparcie. Życie stawiało mu opór, ale on nie pozostawał mu dłużny. Walczył z zapalem i był w tej walce szczęśliwy.

– Nie. Głupio nie. Czasami człowiekowi wystarczy niewiele. Byleby wiedział, czego chce – powiedział.

– Bardzo to mądrze powiedziane – przyznała po chwili Izabela.
– Być może ja sama nie wiedziałam, czego chcę. Łatwiej mi było wyjaśnić, czego nie chcę. Ale co to za życie, kiedy człowiek myśli tylko o tym, czego unikać. Pieniądze zaś, które dzięki panu zarobiłam, coś we mnie obudziły. Jakieś marzenia. Chociaż marzyłam przecież i wcześniej, tylko że teraz wydaje mi się, że o błahostkach. Jakichś balach, absztyfikantach, sukniach i ozdobach. Tematach niewątpliwie przyjemnych, ale przecież nie są one istotą życia. Może więc nie o marzenia chodzi, ale o ambicję. O to cudowne uczucie, kiedy trzyma się w dłoni pieniądze zarobione własnymi umiejętnościami, pracą, ambicją, albo – niech i będzie – dzięki łutowi szczęścia, i nagle rozumie się, że coś od nas zależy. Że mamy moc, żeby coś zmienić, czymś kierować, nad czymś sprawować kontrolę. Nawet, jeśli miałyby to być tylko nasze własne życie. I chyba wtedy wreszcie je zrozumiałam.

– Kogo?

– Te wszystkie kobiety – niezależne, dzikie, na które patrzymy

w mojej klasie z poczuciem wyższości, bo zdaje nam się, że jesteśmy od nich lepsi, ale nie rozumiemy, że one mają coś, czego większość z nas nigdy mieć nie będzie.

– A co takiego?

Izabela spojrzała mu prosto w oczy, a on mimowolnie zadrżał. Coś w nim się znowu budziło. Coś, co w pierwszej chwili go przeraziło, bo przecież pamiętał jeszcze swoje niedawne szaleństwo, potem jednak poczuł, że to coś łagodniejszego i mądrzejszego. Nie potrafił jeszcze tego nazwać, ale nie miał czasu się temu przyjrzeć i zbadać, bo Izabela mówiła już dalej.

– One mają dość. Tak jak pan wspomniał, czasami człowiekowi wystarczy niewiele. Byleby wiedział, czego chce. I w tych słowach znajduję pociechę.

– A to dlaczego?

– Ja już pieniędzy zbyt wiele nie mam – wyjaśniła. – Ledwo ułamek zwrotu z inwestycji w pańską osobę mi został po tej nieszczęsnej licytacji.

– Raz jeszcze bardzo mi przykro. Gdybym wiedział...

Machnęła ręką, ucinając jego słowa.

– Dobrze, że pan dzisiaj do mnie przyszedł – powiedziała. – Sama miałam bowiem po pana posłać.

– Miała pani? – odezwała się zdziwiony.

– Żeby omówić nasz wyjazd do Paryża.

– Czyli chce pani jechać...

– Ale nie żeby zwiedzać. Przynajmniej nie wyłącznie. Zależy mi na czym innym.

– Na czym?

– Na przewodniku i wspólniku, z którym dokonać mogłabym kolejnej inwestycji. Niewiele mi co prawda zostało, ale jest to ciągle kilka tysięcy rubli. Poza tym mam inny wkład, który może pana zainteresować.

– Jakiż to?

Łęcka podeszła do sekretarzyka. Wyjęła z niego niewielką fiolkę i podała Wokulskiemu. Ten podniósł ją do światła, przyjrzał się

i potrząsnął kilka razy, a potem obserwował jak gęsta, oleista ciecz powoli osiada na szklanych ściankach.

– Nafta? – zapytał.

– Zgadza się.

– Chce pani handlować naftą?

Pokręciła przecząco głową.

– Chcę ją wykorzystać. Niech pan się jej przyjrzy. Niech pan się zastanowi, ile w tej niewielkiej przecież fioletowej zamkniętej jest energii. Przecież na pewno da się ją lepiej wykorzystać niż do palenia w lampach czy smarowania maszyn.

– Skąd takie myśli?

– Jak już wspominałam panie Wokulski, szybko się dojrzewa, kiedy ma się pieniądze. Duże, niewielkie, nieważne. Ważne, że człowiek zaczyna myśleć, co z nimi zrobić.

– I pani pomyślała o nafcie? Co chciałaby pani z nią zrobić?

Zawahała się na moment, jakby jeszcze zastanawiała się, czy podzielić się z nim tym sekretem.

– A gdyby spalać ją w maszynach zamiast węgla? – zapytała.

– Chociażby w lokomotywach?

Skinęła głową.

– No cóż... – zastanowił się nad tym przez chwilę – teoretycznie... Ale w tej chwili niemożliwe. Wymagałoby to innego zupełnie pieca. Innego silnika!

– Zgadza się – przyznała Łęcka. – Ale rozmawiałam o tym już z moim kuzynem, Julianem Ochockim. Wyraził duże zainteresowanie tym pomysłem. Duży, powiedziałabym, entuzjazm. Pan go poznał, prawda?

– Tak. To ciekawy człowiek. Ambitny. Wynalazca! – powiedział Wokulski ze szczerym uznaniem. Bo też Ochocki podczas ich rozmów zrobił na nim ogromne wrażenie.

– Zgadza się. I jest też gotów dołączyć do naszej paryskiej wyprawy. To co panie Wokulski, wybrałby się pan z nami? Pana głowa do interesów, głowa Juliana do nauki i...

– Pani wdzięk?

– Przyzna pan, że czasami się przydaje. Szczególnie, że w Paryżu są ludzie, z którymi powinniśmy się spotkać, porozmawiać... Może odrobinę poczarować...

Przyglądał się jej teraz z zainteresowaniem. Patrzył na osobę z własną wolą i własnymi planami, a nie lalkę, którą mógłby przedstawiać z miejsca na miejsce wedle własnych upodobań. Osobę, którą wreszcie mógłby poznać i zrozumieć, a nie tylko głupio wielbić. Ale czy nie on także stał się teraz jakby prawdziwszy? Czuł się tak, jakby ktoś obciął sznurki, które przywiązane były do jego członków i za pomocą których sterował nimi niewidzialny dla niego lalkarz. Zrozumiał, że wreszcie na powrót sam o sobie decydował.

– Powinniśmy zacząć szykować się do drogi – oznajmił. – Zaplanować wszystko. Bo dużo czeka nas w Paryżu pracy.

– Znakomicie. W takim razie, see you soon, mr. Wokulski – powiedziała z uśmiechem, a on ze zdumieniem dostrzegł w jej oczach coś, co widział po raz pierwszy – życzliwość. – See you soon.

Koniec

Jak wygląda historia Łęckiej, której rodzina nie skazała na bogate zamążpójście? Co dzieje się z Rzeckim, gdy wreszcie przestaje troszczyć się wyłącznie o cudze interesy?

W serii opowiadań „Nie-Lalka” Szczepan Twardoch, Sylwia Chutnik i Wojciech Chmielarz odpowiadają na te pytania. Po prawie 140 latach symbolicznie odcinamy sznurki i oddajemy bohaterom Prusa niezależność finansową oraz możliwość życia na własnych zasadach.

